

Bronisław JAKUBIEC SDS

PAMIĘĆ BARDZO MIŁYCH SPOTKAŃ
Wspomnienie o księciu Adamie Tadeuszu Czartoryskim
oraz kilka jego listów

Owszem, był w miejscowości dziadków. Wspomnienia i tęsknota go przygnały. Poszedł jedynie do kościoła. Kościół zresztą też ufundował ojciec babki. W pałacu obecnie jest muzeum. Nie, nie, nie mógłby tam teraz pójść. Tyle wspomnień, tyle przeżyć. Pokoje przemierza chmara turystów. Mniej lub więcej zainteresowanych. A tam przecież jego babka płakała, śmiała się. Tam z dziadkiem przeżywali chwile radości i wspólne smutki. Tyle tam teraz obcych twarzy... Salony pełne zupełnie obcych ludzi. Jakiś przewodnik popisuje się swoją wiedzą.

Nad moim biurkiem wisi na ścianie stara, dziewiętnastowieczna i bardzo cenna dla mnie litografia, na którą często spoglądam. Widzę uroczy, kryty dachówką, wiejski dom z rozbudowanym ceglany kominem przylegającym z zewnątrz do ściany frontowej, otoczony krzewami. Zza jednej jego ściany wychyla się drzewo. Jakaś kobieta zatrzymała się i rozmawia z osobą, która właśnie wygląda przez okno. Kobieta zapewne zeszła z biegnącej obok domu ścieżki, którą zdążyła w stronę jeziora. Jezioro jest tuż nieopodal, w tle. W oddali widać łódź z żaglem, sterowaną przez siedzącą w niej, przygarbioną postać, i wiatrak po drugiej stronie na brzegu.

Na litografii widnieje podpis jej autora: „H. Boisseau”. Została ona wydrukowana w Paryżu w wydawnictwie Chaillou-Potrelle, mieszczącym się wówczas na ulicy Saint Honoré pod numerem 140. Opatrzona jest autografem młodej Elżbiety (Izy) Działyńskiej – poślubiła ona księcia Adama Konstantego Czartoryskiego, a później została babką Adama Tadeusza, od którego litografię tę otrzymałem. Najcenniejsza jest jednak dla mnie dedykacja znajdująca się pod litografią: „Księdzu Bronisławowi Jakubcowi z prośbą o pamięć naszych bardzo miłych spotkań ofiaruję tę litografię Boisseau, która należała do matki mojego ojca Elżbiety z Działyńskich Czartoryskiej i oznaczona jest jej autografem (córka Tytusa Działyńskiego)”. Poniżej znajduje się podpis: Adam Tadeusz Czartoryski, oraz data: Osola, 29 lutego 1981.

Niech garstka poniższych wspomnień o księciu Adamie Tadeuszu Czartoryskim będzie moją odpowiedzią na jego „prośbę o pamięć naszych bardzo miłych spotkań”. Z taką intencją je publikuję, chociaż od spotkań tych minęło

już bardzo wiele czasu – miały one przecież miejsce jeszcze w dwudziestym wieku, a książę Adam Tadeusz Czartoryski odszedł już do wieczności¹.

Rok 1981 był rokiem moich święceń kapłańskich, a zarazem ostatnim dla mnie rokiem pobytu w Wyższym Seminarium Duchownym Salwatorianów w Bagnie niedaleko Wrocławia. Tam właśnie po raz pierwszy spotkałem Adama Tadeusza Czartoryskiego. W latach akademickich 1976-1977, 1977-1978 i 1978-1979 był on moim profesorem łaciny i greki. Imponował nam – wszystkim studentom – swoją ogromną wiedzą humanistyczną, mądrością i osobistą kulturą. Miał też swoiste poczucie humoru. Pewien komentarz, który czynił, odpytując studentów, powtarzaliśmy sobie nawzajem jako zabawną dykteryjkę. Ponieważ zależało mu na tym, żebyśmy dobrze opanowali materiał i mieli wysokie oceny, nie chciał stawiać słabszych ocen i odsyłał nas z poleceniem lepszego opanowania zadanego materiału. Zwykł przy tym powtarzać: „To nie jest tak bardzo dobrze, nie-dostatecznie”. Był to sygnał, że należy przyjąć kolejny raz i poprawić ocenę.

Z księciem Adamem lubiłem rozmawiać na najróżniejsze tematy. Rozmowy te, prowadzone podczas spacerów w seminaryjnym parku, z czasem przerodziły się w przyjaźń. Książę zaprosił mnie do swojego domu w pobliskiej Osoli. Mieszkał w chłopskiej chacie z żoną i – jeśli dobrze pamiętam – z najmłodszym synem. Inni synowie byli już „na swoim”. Właśnie podczas jednej z tych wizyt, w lutym 1981 roku, ofiarował mi litografię Boisseau z autografem swojej babki Elżbiety z Działyńskich Czartoryskiej, którą ona sama nabyła podczas pobytu w Paryżu, kiedy jeszcze była panną. Wizyty, które na zaproszenie księcia Adama Tadeusza Czartoryskiego składałem w jego domu, stawały się coraz częstsze. Po jednej z nich, w marcu 1981 roku, napisałem opowiadanie, które zamieszczam poniżej. Utrwaliłem w nim tamto spotkanie, starając się zachować jego atmosferę i poniekąd zatrzymać w czasie magię prowadzonych rozmów. Do opowiadania dołączam jedenaście listów, które zachowały się w moim prywatnym archiwum mimo moich licznych przeprowadzek, także międzykontynentalnych. Listy te otrzymałem od Adama Tadeusza Czartoryskiego w latach 1987-1995. Są one świadectwem czasów, jakich doświadczała wówczas nasza Ojczyzna, kiedy miał się już ku schyłkowi

¹ Książę Adam Tadeusz Zdzisław Czartoryski (1909-2006), herbu Pogoń, wnuk Adama Konstantego Czartoryskiego (1804-1880) i Elżbiety z Działyńskich (1826-1896), syn Tomasza Bogusława Czartoryskiego (1855-1920) oraz Zofii Klementyny z Lubomirskich (1867-1950), urodził się w Rokosowie 8 marca 1909 roku. W roku 1933, w wieku dwudziestu czterech lat, zawarł związek małżeński z Zofią Wysocką. Był ojcem pięciu synów – Zygmunta Szczęsnego, Krzysztofa Adama, Juliusza, Tytusa i Gustawa Piusa. Ukończył studia filozoficzne, uzyskując tytuł magistra. W latach 1976-1979 prowadził lektorat języka łacińskiego i języka greckiego w Wyższym Seminarium Duchownym Salwatorianów w Bagnie koło Wrocławia. Zmarł w Puszczykowie 10 lutego 2006 roku w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat i został tam pochowany na cmentarzu parafialnym.

ustrój socjalistyczny, Polska Rzeczpospolita Ludowa odchodziła w przeszłość, a nastawały nowe czasy Rzeczypospolitej Polskiej. Każdy list został opatrzony numerem i niewielkim komentarzem, pozwalającym osadzić jego treść w kontekście, w którym został napisany.

Po przyjęciu święceń kapłańskich wyjechałem z Bagna na studia do Rzymu. Pomimo odległości nasza znajomość z księciem Adamem Tadeuszem Czartoryskim się nie zakończyła. Podczas wakacji, które spędzałem w Polsce, przyjąłem jego zaproszenie i udałem się do Puszczykowa, dokąd się w międzyczasie przeprowadził z Osoli. Przed moim przyjazdem również wymienialiśmy korespondencję. W czasie spotkania poprosił, żebym przesłał mu z Rzymu zdjęcia rzeźby z białego marmuru *Apollo i Dafne*, której autorem jest Giovanni Lorenzo Bernini i którą można obejrzeć w Rzymie w Galerii Borghese. Wiele lat wcześniej, jeszcze jako młodzieniec, książe Adam Tadeusz Czartoryski autentycznie zachwyił się nią podczas swojego pobytu w Rzymie.

Podczas moich odwiedzin w Puszczykowie zabrał mnie na wycieczkę, żeby pokazać mi pałac w Kórniku. Sławna siedziba Działyńskich, dom rodzinny jego babki, była mu bardzo bliska. Wizyta okazała się dla mnie niezapomniana. Niestety sam książe nie wszedł do pałacu, ponieważ wiązałoby się to z bolesnym przeżyciem. Żeby znaleźć się w pomieszczeniach, w których biegał jako mały chłopiec, musiałby kupić bilet. Ponadto w holu, tuż przy wejściu, otwarto właśnie wystawę książek z komunistyczną propagandą. Pałac zwiedzałem więc sam, wyposażony we wskazówki, na co zwracać szczególną uwagę. Po parku spacerowaliśmy jednak razem. Książe znał tam każdy zakamarek. Wspominając swoje dzieciństwo, opowiadał historię licznych drzew i krzewów. Do dziś pamiętam, że pokazywał mi dziwne drzewo przypominające wierzbę, którego owoce wyglądały jak małe gruszki. Drzewo to do parku w Kórniku sprowadził jego budowniczy, któremu ktoś powiedział, że miejscu temu nic już nie brakuje, chyba tylko gruszek na wierzbie.

Pamiętam również, że na zakończenie mojej wizyty w Puszczykowie przy pożegnaniu książe dał mi artykuły swojego autorstwa z prośbą, aby wywieźć je z kraju i z Rzymu przesłać pocztą do Biblioteki Polskiej w Paryżu. W Polsce w tym czasie korespondencja, szczególnie zagraniczna, była cenzurowana, a przesyłka ta zapewne zostałaby przechwycona i nigdy nie dotarła do adresata.

Niech zatem poniższe wspomnienia przywołają pamięć o księciu Adamie Tadeuszu Czartoryskim, profesorze łaciny i greki w Wyższym Seminarium Duchownym Salwatorianów w Bagnie, a kilka jego listów przeniesie Czytelnika w czasy, gdy Polska nie była jeszcze wolna i pozostawała pod jarzmem Związku Sowieckiego, w obozie komunistycznym, gnębiąc wiele swoich córek i synów, którzy nie akceptowali nowej, niesprawiedliwej, powojennej rzeczywistości.

GUZIK OD LIBERII

– To jest bardzo zabawna historia – powiedział książę.

Już od dłuższego czasu szukał czegoś w stosie papierów i kopert za radiem, nie przerywając jednak prowadzonego monologu, a raczej swoich głośnych przemyśleń i refleksji. Słuchałem z zaciekawieniem.

Radio jakoś nie pasowało do niego, zresztą tak jak i do wyposażenia całego wnętrza, które było jak gdyby z innej epoki. Nie pasowało do pokoju ani do sylwetki lokatora.

Książę był postawnym mężczyzną, wysokim, chociaż wiek przygarbił mu nieco plecy. No i te siwe włosy, zwyczajnie zaczesane do tyłu. W ubiorze nie szczególnego. Spokojne, eleganckie popiele, chociaż trochę widać już było na nich żąb czasu. I te staroświeckie krawaty. Staroświeckie? A może z innej epoki? Były we wzory, najczęściej bordowe, przeważnie z aksamitu. Wisiały na hakach na ścianie pokoju – jeden z nich oczywiście książę miał zawsze na szyi. Zawsze elegancki, często je zmieniał.

Szperając za radiodbiornikiem, mówił, że tak naprawdę radia nie lubi słuchać, chociaż nastawia czasem Wolną Europę i Głos Ameryki.

– Strasznie zakłócają, trudno tego słuchać – komentował.

Słyszał, że w pobliskim Wilczynie, na trasie do Trzebnicy, na wzgórzu znajduje się stacja wojskowa i to ona celowo powoduje zakłócenia.

– Może dlatego tak trudno w jej pobliżu słuchać tych rozgłośni z zagranicy – dodał. Przez cały ten czas szukał wciąż za radiem jakiegoś zawiniątka i powtarzał, że to bardzo zabawna historia.

Bardzo się ucieszył moimi odwiedzinami. Chciał tak dużo opowiedzieć, dużo przekazać. A wiadomości miał rozległe. No i wspomnienia... Chętnie wracał do wydarzeń minionych lat. Dobrze znał wiele rodzin arystokratycznych. Interesował się ich losami. Na swój wiek był bardzo aktywny i swoją rozległą wiedzę chciał jakoś spożytkować. Pisywał recenzje ukazujących się publikacji historycznych, ale tak naprawdę jego teksty nigdy nie ukazywały się drukiem. Było to zatem – jak się to mówi – pisarstwo „do szuflady”. Może kiedyś ktoś sięgnie po te opracowania? Kto wie? Lubił też robić korekty różnych tekstów i opracowań.

– O proszę spojrzeć – pokazał mi swoje sprostowania do *Słownika wyrazów obcych*. Był dopiero przy literze „A”, ale miał już sporo uwag. Cechowała go niezwykła precyzja myśli, ale też i niepodważalna wiedza humanistyczna.

Mówił, że to wszystko jest dla niego jak zabawa, ale pewnie bardzo lubił swoje zajęcia, bo wykreślał na przykład drzewa genealogiczne, układając przy tym rozległe koligacje i związki rodzinne. Powiedział, że zrobił niedawno genealogię zstępującą (poczynając od siebie), i mi ją pokazał. Nakreślona została na arkuszu szarego papieru, a patrząc na nią, czuło się, że mówią przez nią wieki polskiej historii.

Zresztą wszystko u księcia było historią. Radio tranzystorowe, które tak nie pasowało do tego pokoju, stało wśród stosów książek na bardzo pięknym stole o marmurowym blacie i złożonych nogach.

– Należał kiedyś do wuja mojej żony – objaśniał Książę. – Wuj był ambasadorem w Wiedniu i kiedy dostał od japońskiego dyplomaty upominek w postaci małego parawanu wykonanego z płytek alabastrowych, układających

się we wspaniałe wschodnie krajobrazy, trzeba było kupić odpowiedni stolik, żeby można było na czymś ten drogocenny upominek postawić. Na stoliku stoi teraz tranzystorowe radio. Parawan trzeba było sprzedać po wojnie. Czasy były bardzo ciężkie, a żyć jakoś trzeba było. Każdy ma przecież prawo do życia. Och, co to za straszne czasy nastąpiły po zakończeniu wojny. Niebezpiecznie było wiedzieć, kto był twoim dziadkiem, a już w żadnym wypadku, kto był pradziadkiem. Znać swojego przodka już znaczyło być podejrzanym. Wówczas nie tylko parawan alabastrowy, podarek japońskiego dyplomaty, został sprzedany, ale i inne drobiazgi trzeba było stopniowo sprzedawać, żeby jakoś przeżyć. To były bardzo ciężkie czasy.

Nie sprzedał tylko książek. Były ich w pokoju dosłownie całe stopy. To biblioteka matki księcia, Zofii z Lubomirskich. Księżna była wielką działaczką społeczną.

– To jest zabawna historia – znowu powtórzył Książę i dalej snuł swoją opowieść, nieustannie szukając za radem czegoś, co chciał mi pokazać.

Trzeba było po prostu cierpliwie czekać, aż znajdzie to, czego poszukiwał, bo trudno było mu się połapać w tych pakunkach. Salon był dosłownie zawalony pakunkami. Jak gdyby książę spakował się do przeprowadzki. Tak naprawdę, to już od kilku lat tak na tych paczkach siedzi – mówił. Miał się przeprowadzić z tej ruiny. Nabył już nawet dom pod Poznaniem, ale niestety z lokatorami.

– Dzisiaj tak trudno pozbyć się lokatorów – rzucił.

A co mu z takiego mieszkania, gdzie przez pokój przechodzić mu będzie obca osoba. Niby spokojna, starsza kobieta, ale zawsze tak jakoś niezręcznie.

W kącie pod kominkiem zapakowane w papier i przewiązane sznurkiem stały obrazy.

– Tylko część wisi na ścianach. Nie można wszystkich zmieścić. Tyle ich jest, a ścian, jak widać, niewiele. Obrazy, które wiszą na ścianach, też przykrywa szary papier pakunkowy. Kurzy się tutaj. A i sprzątać nie ma jak, bo paczki zalegają w całym pokoju i pozostaje tylko wąskie przejście środkiem. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia zastawione dwoma łózkami. Drzwi do następnego pokoju też nieużywane. Nieczynny jest też kominek.

Kazał go zbudować wiejskiemu zdunowi. Zdun długo zwlekał, potem prace ciągnęły się w nieskończoność. Naprawdę, brakowało już cierpliwości. Wszystko przez to, że zdun dużo pił. Czasami w ogóle nie przychodził pracować, bo był pijany. Innym razem, kiedy już przyszedł popracować, nie kończył roboty, bo się ponownie znietrzeźwił w czasie pracy. Oczywiście trzeba mu było kupić wódkę, bo bez pół litra w ogóle nie chciał się do niczego zabrać. Kominek, owszem stoi. Kilka razy nawet próbowano w nim rozpałić ogień – kiedy przyszli w odwiedziny goście. Zdun okazał się chyba jednak trochę nieuczciwy, bo z ciągiem powietrza w kominku coś było nie tak i okropnie dymiło do wnętrza pokoju zamiast do komina.

W towarzystwie dwóch kartonów po szampanach na kominku stało teraz popiersie cesarza Napoleona Bonaparte'go. Piękna rzeźba. Wizerunek wykonany z białego alabastru według podobizny, na której cesarz był jeszcze młody.

– Ostrożnie, nie dotykać. Alabaster jest taki miękki. Znać na nim nawet zadrapania paznokciem.

Powróciło niedawno z konserwacji kilka obrazów.

– Proszę spojrzeć, naprawdę unikalne. Wszystkie to oryginały. Ciekawa jest sprawa obrazu z ciotką Izabelą. Stoi sobie w parku przy balustradzie, z pieskiem. Obraz naprawdę śliczny. W muzeum mają podobny. Myślą, że mają oryginał – figlarnie się roześmiał.

– Albo na przykład *Wizja Ezechiela*. Wspaniałe dzieło sztuki. Teraz po konserwacji dopiero odżyło. Nabrało kolorów. Przed konserwacją obraz był cały czarny. Już prawie dwieście lat nikt go nie czyścił.

– Albo proszę spojrzeć na ten duży portret kuzyna Romka.

Na obrazie przy kamiennej ławie w parku stoi chłopczyk w szlacheckim stroju, z tyłu fragment zabudowań pałacowych.

– Tam przed wojną też jeździłem – wspominał. – To był bardzo ładny dom. Ale najbardziej lubiłem jeździć do babki Elżbiety.

Po wojnie nigdy się już tam nie pojawił. Byłoby to zbyt bolesne. Owszem, był w miejscowości dziadków. Wspomnienia i tęsknota go przygnały. Poszedł jedynie do kościoła. Kościół zresztą też ufundował ojciec babki. W pałacu obecnie jest muzeum. Nie, nie, nie mógłby tam teraz pójść. Tyle wspomnień, tyle przeżyć. Pokoje przemierza chmara turystów. Mniej lub więcej zainteresowanych. A tam przecież jego babka płakała, śmiała się. Tam z dziadkiem przeżywali chwile radości i wspólne smutki. Tyle tam teraz obcych twarzy... Salony pełne zupełnie obcych ludzi. Tłumy ludzi. Tłumy twarzy. Jakiś przewodnik popisuje się swoją wiedzą.

– Cóż on może wiedzieć o matce mojego ojca, o jej ojcu, rodzinie? Przecież dla niego to są zupełnie obce sprawy. To zimne informacje. Dla mnie to moje prawdziwe życie. To radość mojego dzieciństwa i młodości.

Nie, nigdy już tam nie wejdzie. To za bardzo bolesne. Zresztą nigdy już po wojnie i zmianie ustroju Polski nie chodził po dawnych domach rodzinnych. Owszem, przyjeżdżał, zobaczył z zewnątrz, ciekawy, w jakim są stanie. Minęło niewiele czasu, a tak strasznie zniszczone. Serce pęka. Państwowe Gospodarstwa Rolne. Jakich strasznych zniszczeń dokonano. Wielka szkoda. Czasem ośmielił się porozmawiać ze służbą w dawnych czworakach i wracał do siebie.

Pamięta, jak jego ojciec budował mieszkania dla służby dworskiej. Ma jeszcze ich plany. Może je pokazać.

– O proszę spojrzeć, domki parterowe, „bliźniaki” z obórką, kurnikiem, sienią oraz izbami. Przed każdym domkiem niewielki ogródek.

Ojciec księcia nie lubił dużych skupisk ludzkich. Nie chciał, żeby służba się gnieździła. Budował, budował. Te rozwiązania były bardzo nowatorskie jak na ówczesne czasy.

– Dziś PGR nie wyremontował i po prostu się zmarowało. Wielka szkoda. Oni tam dzisiaj, trzydzieści lat po wojnie, gorzej mieszkają niż pałacowa służba. I gorzej jedzą.

On już woli się tam nie pokazywać. Nie żeby nie mógł się pogodzić z nową rzeczywistością.

– Trudno, stało się. Czasu nie zawrócisz, ale dlaczego teraz to wszystko marnują, obracają w ruinę? Zabrali, no zgoda. Przecież można to jakoś przeżyć, pogodzić się z nową rzeczywistością. Niech tylko nie marnują...

Na chwilę umilkł, przerywając wspomnienia.

– O, czyżby Książę znalazł to, czego szuka?

– Nie, nie, to jeszcze nie to, ale w końcu się znajdzie. Cierpliwości.

Musi jeszcze trochę poszperać. Nie pamięta dokładnie, gdzie to zawiniątko położył. Ale znajdzie się na pewno.

Póki co, chciałby pokazać małą kolekcję, na którą właśnie w tej chwili natrafił. Czego? Obrazków pośmiertnych. Takie małe obrazki z czarną obwódką, wydrukowane z podobizną zmarłej lub zmarłego, z nazwiskiem, pochodzeniem. Jest też piękna modlitwa o spokój duszy.

– O proszę, tutaj na przykład cytat z Pisma Świętego – tłumaczy, podając wciąż nowe obrazki do obejrzenia. – To okolicznościowe obrazki, wydane z okazji śmierci i pogrzebu. O, ten obrazek to jest ciotka mojej babki. Pamiętam ją bardzo dobrze. Była niezwykle piękna.

– A ta?

– Zmarła młodo. Ślicznie malowała. Naprawdę miała wielki talent. Mam należące do niej suknie i obrazy. Nie, nie wszystkie te żałobne obrazki są rodzinne. Są też przyjaciele, znajomi. Zaprzyjaźnione rodziny.

Zresztą do dzisiaj tworzą jedną, wielką rodzinę.

– To przez koligacje, małżeństwa w tych rodzinach, jest taka łączność. A tu na przykład ostatni już z tego rodu – zmarł w Warszawie. Na pogrzebie była nawet żona prezydenta Stanów Zjednoczonych. Tak, tak, aż tam sięgają koligacje. Tak! Król belgijski też miał w rodzinie osobę pochodzącą z polskiej rodziny. I hiszpański. No i włoski oczywiście też. Tak, można powiedzieć, że przez te koligacje arystokracja jest jedną, wielką rodziną, która sięga daleko poza granice Polski, a nawet Europy.

– A teraz, dlaczego w tej chałupie, a nie gdzieś za granicą? Przecież z historii dobrze znamy uchodźstwo i emigrację, chociażby w Paryżu, kiedy Polski nie było na mapie świata. I dzisiaj przecież tyłu ucieka za chlebem.

– No, Ojczyzna to Ojczyzna, mimo że nie jest wolna – zamyślił się książę. – Zawsze lepiej złożyć kości w ojczystej ziemi. Zawsze lepiej na swoim i u swoich, no i przy swoich. A może przed śmiercią doczekam zmian? Żeby chociaż doszło do tego, żeby mówiono prawdę. Tyle się kłamie albo przemilcza. Nikt tych strat nie odrobi. To będzie jak balast i z pewnością obciąży następne pokolenia. Historia jest jedna. Nie można jej fałszować – kontynuował w zamyśleniu. – Przyjdzie czas, że się o nią upomną. Ale czy to nie będzie za późno? Są przecież straty, których odrobić się nie da albo które odrobić jest niezwykle trudno.

Powoli zapadał zmierzch. Do izby, zmienionej w salon, światło wpadało tylko przez jedno niewielkie okno, do tego jeszcze do połowy zakryte kocem. Dwa pozostałe zasunięto ciężkimi zasłonami z żółtego aksamitu. Nawet ich na dzień nie rozsuwa, bo ściana się sypie.

– Po co odsłaniać tę sypiącą się ścianę?

W świecznikach zatknięte nadpalone świece. Zapali lampę. Tę na stole. Nie lubi świecić na suficie. Wtedy w salonie jest za jasno i widać stopy piętrzących się paczek i pakunków. Po co to wszystko ma być widać jak na dłoni? W ciemności jest bardziej tajemniczo. Zresztą to w salonie to jeszcze nie wszystko. Siedemdziesiąt worków z książkami zdeponowanych jest na strychu. Tutaj nie ma już po prostu miejsca. Ledwie się mieści stół. To prawda, że bardzo duży. Prawdę mówiąc, to wyraźnie nieproporcjonalny w stosunku do tego niewielkiego i niskiego wnętrza. Zrozumiałe, w pałacu były przestronne i jasne pomieszczenia. O wiele większe i wyższe od tej izby w chłopskiej chałupie. Stół intarsjowany. Odnawiał go, ale ci, co się nim zajęli, trochę za bardzo go przyciemnili.

– Dzisiaj nie mają już tak dobrych lakierów, jak kiedyś. Biedermeier – to tego typu mebel. Fotele są zresztą od kompletu. Zachowało się oryginalne pokrycie sprzed stu lat. Mocno już wytarty od użytkowania, spłowiały, zielony plusz. Ale siedzi się bardzo wygodnie. Proszę spróbować. Ciekawe są też te podwójne, złożone stoliki na jednej wygiętej, kręconej nodze.

Czy się nie znudziłem?

– Nie, nie – natychmiast zaprzeczam.

– To dobrze, pokażę jeszcze stare grafiki, litografie.

Sięgnął w kierunku sporej paczki, owiniętej w szary, pakunkowy papier. Wyciągał arkusz za arkuszem.

– Dużo postaci historycznych. O, tutaj to rodzina. Ten był przywódcą powstania. Tamta zakładała sierocińce. O ta, na tej litografii, założyła wiejską szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt. O, tutaj ambasador. A ta grafika to obrazek z Zakopanego. Droga i bliska sercu pamiątka.

Do Zakopanego czuje szczególny sentyment. Uczył się tam w gimnazjum. Wtedy to było prawdziwe „zakopane”. Trudno było nawet dojechać błotnistą drogą. Nie, nie był tam od zakończenia wojny. Słyszał tylko, że wiele się zmieniło. Obrazek zresztą dobrze ilustruje, jak wtedy było.

– Proszę spojrzec. Kościół murowany i domy na Krupówkach. Reszta to pola i łąki. Teraz podobno bloki tam pobudowano. Prawdziwe miasto. Szkoda, że wszystko się tak bardzo zmienia. O, tutaj grafika z Rzymu...

Rzym to jeszcze pamięta z czasów, gdy via della Conciliazione nie istniała, miejsce, gdzie się teraz znajduje, było zabudowana starymi kamienicami. Teraz to wszystko wyburzone. Otwarto drogę do placu św. Piotra. Niepotrzebnie. Przecież tam był kawał starego Rzymu. Kiedy tam podróżował, był jeszcze młodzieńcem.

– Dwadzieścia lat...

Zamyślił się. Wtedy się jeszcze tak bardzo wszystkim nie interesował, jak obecnie. Był jak każdy młody. Zresztą chorował wtedy. Musiał побыć trochę w cieplejszym klimacie. Dla nabrania sił.

– A Wenecja?

Oczywiście był, był. Do dziś utkwiły mu w pamięci kolorowe mozaiki z katedry św. Marka.

A Pałac Dożów, czy zwiedzał?

– Oczywiście. Wspaniały. Podróże naprawdę kształcą. Koniecznie trzeba zobaczyć Wenecję. Zresztą warto zwiedzić całą Europę. Niemcy, Szwajcarię, Wiedeń.

Bywał, bywał...

– A Paryż?

– Jakże by nie! Tak naprawdę to część rodziny się „sfrancuziła”.

Tak, u nich w domu mówiło się też po francusku. Zna ten język. Czyta również po angielsku i niemiecku. Języki są bardzo potrzebne. Warto się ich uczyć. Człowiek tyle razy żyje, ile zna języków.

– Znalazłem – nagle oznajmił z satysfakcją. – Wiedziałem, że to musi gdzieś tu być.

Zwykła niebieska koperta złożona na czworo. Na dodatek nie wyglądała, jak gdyby coś znajdowało się w środku. Nic dziwnego, że trudno było rzecz tak niepozorną znaleźć wśród stosów książek i pakunków.

– Zabawna historia – powtarzał, uśmiechając się tajemniczo. – Słyszałem, że czasami przyjeżdża z Niemiec do pobliskiego Żmigrodu syn dawnego właś-

ciciela pałacu w tym miasteczku – zaczął w końcu historię, którą tak bardzo chciał mi opowiedzieć.

– To niemiecka rodzina Hattzfeldów – tłumaczył. – Mieli też bardzo ładny pałac klasycystyczny we Wrocławiu. Niestety, zburzony w czasie wojny. Teraz fragment odbudowano z przeznaczeniem na pawilon wystawowy. Ale dlaczego tam wystawiają same takie szkaradzieństwa? Albo zwisająca, pokaźna ilość sznurków z węzłami, a to znowu glisty z ludzkimi nogami... No cóż, pewnie się nie znam na sztuce współczesnej... Ten młody Hattzfeld, kiedy przyjeżdża do Polski, mieszka u kogoś w dawnych zabudowaniach gospodarczych majątku w Żmigrodzie...

Księżę czekał na niego. Kiedy się pojawi, mieli mu dać znać. Chciał mu coś przekazać. Kiedy tuż po wojnie spacerował po gruzach pałacu Hattzfeldów w Żmigrodzie, znalazł dosłownie drobnostkę. Guzik oderwany od liberii. Ma zachowane bardzo dobrze herby rodzinne Hattzfeldów. Będzie miłą pamiątką dla młodego Hattzfelda. Może jedyną z tego majątku?

– Guzik dostanie – mówiąc te słowa, uśmiechnął się. – Myślę, że nie będzie to jednak przysłowiowe „nic”, ale cenna pamiątka.

Księżę ten guzik zachował i przechowywał go przez tyle lat. Cekał, żeby podarować go młodemu Hattzfeldowi.

– Może się ucieszy? – zastanawiał się. Jego ojciec lubił Polaków. Zawsze im pomagał. Był bardzo szlachetny. Kiedy mu doniesiono, że Sowietci podchodzą już pod Żmigród, rozkazał, żeby podjechał powóz, który czekał zaprzężony w konie. Tak jak stał, w jednym garniturze, z laseczką w rękę, wsiadł i odjechał przed siebie.

Bagno, 3 marca 1981 roku

LISTY

LIST 1

W roku 1987 przeprowadziłem się z Obornik Śląskich, gdzie pracowałem w parafii pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, do Krakowa. Tym sposobem moje kontakty z księciem Adamem Tadeuszem Czartoryskim z uwagi na dzielącą nas odległość nie mogły już być tak częste, a odwiedziny okazały się praktycznie niemożliwe. Pozostał już tylko kontakt listowny. Szczególną okazją do wzajemnej o sobie pamięci stały się święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, wraz z życzeniami można było wówczas skreślić kilka słów.

Poniższy list zawiera odpowiedź księcia Adama Tadeusza Czartoryskiego na moje bożonarodzeniowe życzenia świąteczne. Księżę nawiązuje w nim do naszego ostatniego spotkania, które miało miejsce u niego w domu w Puszczykowie, a także do naszych wcześniejszych spotkań w Osoli. Podczas ostatniego

spotkania prowadziliśmy długie rozmowy na różne tematy związane z przemianami zachodzącymi w Polsce. Dotyczyły one zwłaszcza walki robotników o swoje prawa i o demokrację. Kończąc swój list, księżę przesyła pozdrowienia również od Zbyszka, młodego człowieka, którego poznałem podczas pobytu w Puszczykowie. Zbyszek był kierowcą księcia i pomagał mu w pracach w ogrodzie i w domu, do którego przeprowadził się z Osoli.

ul. Dębowa 3
Puszczykowo

21 XII 1987

Drogi Księżu!

Dziękuję bardzo za pamięć i za życzenia, które mnie bardzo ucieszyły, bo lękałem się, że na pewno już o sobie zapomnimy, a tak bardzo jest mi miłe wspomnienie naszej znajomości i dawnej, i późniejszej, gdy Ksiądz znalazł czas, by mnie tu odwiedzić. Pobyt Księdza tutaj był tak krótki, że nie można było w żaden sposób o każdym przedmiocie porozmawiać. Tym bardziej że, jak sobie przypominam, wymęczyłem Księdza wieloraką problematyką, na którą chciałem go uczulić, nie umiejąc zresztą rzeczowo jej przedstawić. A to tak ważne rzeczy dla naszej przyszłości, Kościoła i wszystkich.

Jestem zajęty pisaniem paru rzeczy, lecz na nic czasu już nie wystarcza i skupienia brakuje, znalazłem w poznańskiej bibliotece PAN – Towarzystwie Przyjaciół Nauk, chętnego odbiorcę nawet ręką pisanych rzeczy. Natomiast brak mi – i bardzo mnie ten brak gnębi – jakichkolwiek wiadomości od Księdza, jaki rodzaj głównego zatrudnienia Jego teraz, jak to się odbywa i jakie ciekawe spostrzeżenia Ksiądz ma sposobność czynić? Gdyby Ksiądz był kiedyś w Tyńcu, to bardzo proszę wiele serdeczności ode mnie powtórzyć ojcom Szczaniawskiemu i Michałowskiemu. Cieszę się, że tak wspaniała jest ta część, która po tej wojnie została odbudowana.

Zasylam najlepsze życzenia na Święta Bożego Narodzenia i na Nowy Rok, od nas obu, od Zbyszka, który nadal dzielnie fiatem małym jeździ, i ode mnie łączę wiele serdeczności.

Adam Tad. Czartoryski

LIST 2

W liście tym księżę Adam Tadeusz Czartoryski przesłał mi podziękowanie za książkę. Przesłanie książki (albumu) było rezultatem naszych długich i bardzo dla mnie interesujących dyskusji na temat sztuki. Jak zawsze, księżę poinformował mnie, nad czym pracuje, był bowiem człowiekiem nie tylko wszechstronnych zainteresowań, ale też bardzo twórczym, a do tego niezwykle

pracowitym. W liście kieruje też do mnie prosbę o pomoc w zdobyciu lekarstwa. Prośba ta doskonale ilustruje owe czasy, koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy socjalistyczna Polska pozostawała daleko za rozwijającym się demokratycznym światem, a braki w zaopatrzeniu nie dotyczyły wyłącznie lekarstw, w istocie deficytowy był każdy towar. Naprzeciw ludzkim potrzebom wychodziły wówczas zakony. Mając swoje klasztory na Zachodzie, często sprowadzały stamtąd na przykład specjalistyczne lekarstwa i udostępniały je chorym. Również salwatorianie byli zaangażowani w tego rodzaju działalność charytatywno-społeczną. Ksiądz prowincjał Seweryn Kłaput SDS specjalnie w tym celu utrzymywał kontakt z Apteką Grabowskiego w Londynie, a zamawiane w niej leki opłacali nasi współbracia pracujący w Stanach Zjednoczonych. Taką zakonną „aptekę”, która służyła pomocą ludziom chorym i bezradnym, prowadzili w naszej wspólnocie w Trzebini niedaleko Krakowa ks. Celestyn Rogowski SDS i ks. Marek Piątkowski SDS.

ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

25 I 1988

Drogi Księżu!

Dostałem wczoraj z poczty wspaniałą książkę o sztuce Warszawy i bardzo za ten królewski prezent dziękuję. Wygląda poważnie i na starannie opracowaną. Niebawem bliżej się z nią zapoznam, a w tej chwili jestem w połowie pracy na kilkanaście stron, zamówionej z zakresu powstania Polski po pierwszej wojnie światowej i roli brata mojej matki w tym czasie. Sprowokował mnie do tego ładnie, ale z dużym zapasem nieścisłości napisany artykuł prof. Pajewskiego w „Tygodniku Polskim”.

Mam teraz taki problem i proszę o wiadomość, czy Ksiądz mógłby mi pomóc. Bylem zagrożony operacją [...] lecz okazało się, że zażywając odpowiednie lekarstwa, będzie można pewno – tak mi powiedział doktor – operacji uniknąć. Od początku są trudności z lekarstwami, bo wchodzi w rachubę tylko zagraniczne, a ostatnio w ogóle [ich] nie ma. Pytam u jezuitów i salezjanów. U pierwszych są takie tłumy, że niemożliwe [jest] się docisnąć, a u salezjanów kilka razy były, a teraz po trzech godzinach czekania nic nie dostałem, bo ktoś, co przede mną był, dostał. Czy Ksiądz w Krakowie by mógł dostać? Mogę receptę przysłać odwrotnie. Każde zachodnie lekarstwo [...] jest dobre [...] wymiennie można brać innej nazwy lekarstwa niż na recepcie. Bardzo to nieprzyjemna sprawa, więc dlatego odważam się Księdza spytać, nie będę się dziwić, jak nic się nie da zrobić!

Przesyłam życzenia na rok 1988 i serdecznie pozdrawiam, a Zbyszek każe wiele serdeczności od siebie dodać.

A.T. Czartoryski

LIST 3

Kolejny list świadczy o wrażliwości i delikatności jego autora. Po wysłaniu w poprzednim liście prośby o lekarstwo, uświadomił sobie, że mógł narazić mnie na stanie w wielogodzinnych kolejkach (czego sam doświadczył i co w owych czasach było normalnością). Dołączył zatem do poprzedniego listu poniższą uwagę.

ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

28 I 1988

Drogi Księżu!

Pragnę w paru słowach uzupełnić mój list sprzed paru dni. Wyobrażam sobie, że może Książd ma jakieś możliwości dostania lekarstwa dla mnie, natomiast jeśli w Krakowie trzeba w ogonku stać parę godzin, to o tym dla Księdza nie myślałem [zdanie podkreślone]. Raczej może ktoś z Zachodu mógłby przywieźć lub przysłać. W żadnym razie proszę nie próbować stania w ogonku [zdanie podkreślone]. Przepraszam, że może kłopotem Księdza trudzę.

Serdecznie pozdrawiam
A.T. Czartoryski

LIST 4

Kolejny list to przedłużona korespondencja w sprawie lekarstwa, którego dostanie w Polsce w tym okresie graniczyło z cudem. W wysłanej kartce prosiłem o przesłanie nazwy leku lub recepty. W odpowiedzi przy okazji sprawy leku autor listu zwrócił uwagę na otrzymaną kartkę, którą dostał ode mnie i która go zachwyciła.

ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

16 II 1988

Drogi Księżu!

Dziękuję za kartkę z podobizną, ale właśnie – czyją? Tak niezwykła postać i tak technicznie interesujące wykonanie! Proszę przy okazji o wyjaśnienie,

czy to kolorowa fotografia z ręcznie malowanego portretu, czy z kolorowej fotografii z epoki?

Załączam receptę, ma już sześć tygodni, bo od tego czasu nie mogła być zrealizowana, natomiast każde inne lekarstwo o tym samym działaniu może być zastępczo przez pacjenta stosowane.

Bardzo serdecznie dziękuję za chęć pomocy, o ile to nie narazi Księdza na kłopot i stratę czasu. Łączę serdeczne pozdrowienia.

A.T. Czartoryski

LIST 5

Sprawa lekarstwa została załatwiona pozytywnie. Podałem je przez kogoś, kto wybierał się do Obornik Śląskich, na adres znajomej pani doktor, którą ksiądz Adam Tadeusz Czartoryski również znał, mieszkającej w parafii, gdzie poprzednio pracowałem. Na podstawie tego listu można raz jeszcze unaocznic sobie, jak beznadziejna była wówczas sytuacja chorych, a właściwie nie tylko chorych, ale także służby zdrowia.

Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

12 III 1988

Drogi Księżu!

Donoszę, że byłem już u naszej znajomej w Obornikach i odebrałem lekarstwo. Jest ono tak rzadkim zjawiskiem, że już staje się legendarne, lekarze je zapisują, ale nikt go nie ogląda. Pod koniec marca ma mój lekarz zdecydować, czy będzie operacja, a właśnie do tego czasu będę mógł dzięki temu lekarstwu przetrwać. Proszę o wiadomość, ile kosztowało, względnie czym mogę się odwdziaczyć. Czy Ksiądz jakiejś książki nie potrzebuje, której mógłbym tu poszukać?

Łączę serdeczne pozdrowienia.

A. Czartoryski

LIST 6

Kolejny list należy do dłuższych, które się zachowały. Został napisany po moich odwiedzinach w Puszczykowie koło Poznania. W czasie tych odwiedzin pojechaliśmy do pobliskiego Kórnik, gdzie ksiądz szczegółowo pokazał mi park przy pałacu. Kórnik był domem jego babki Elżbiety z Działyńskich

Czartoryskiej. Dogłębna znajomość parku przez księcia wcale mnie nie zdziwiła. Znał tam każdy zakamarek, ponieważ był tam od dzieciństwa. Sam w swoim ogrodzie w Puszczykowie porządkował w tym czasie teren i dosadzał drzewa, a narosłe dziko przez lata krzewy karczował, aby wokół willi stworzyć alejkę do spacerów. Podczas mojej wizyty dużo rozmawialiśmy też o naszym parku seminaryjnym przy klasztorze w Bagnie, który księżę doskonale znał. Zrelacjonowałem mu, że inwentaryzujemy park i dosadzamy nowe drzewa. Był tym żywo zainteresowany. Z listu jasno wynika, że jego wszechstronne zainteresowania obejmowały również style ogrodów przypałacowych, na czym bardzo dobrze się znał. Krótka refleksja teologiczno-filozoficzna na temat Boga, natury i człowieka doskonale odzwierciedla głębię duchową księcia.

Wdzięczny za odwiedziny, bardzo zapraszał ponownie do odwiedzenia Puszczykowa. Chciał posłużyć za przewodnika po innych obiektach, które leżą w pobliżu Poznania czy w samym Poznaniu. Napomknąłem, że po drodze jest Będków z pałacem, ale on wiedział już, że to wspaniałe miejsce zamieniło się w ruinę.

Na koniec trzy uwagi.

Prosił o potwierdzenie, że list dotarł. W owych czasach panowało generalne poczucie, że poczta działa, jak chce, a pewność, że list dotrze do adresata, wcale nie była oczywista.

W liście pierwszy raz nazwał swoją posiadłość w Puszczykowie (starą willę z ogrodem) Bogdańcem. Nazwy tej używał potem w kolejnych listach. Widziałem w tym wzruszające świadectwo tęsknoty za dawnymi czasami, w których dorastał, za panującymi wówczas zwyczajami – za przeszłością, która tak brutalnie została zniszczona przez zmianę ustroju w Polsce.

W swoich listach niekiedy zmieniał pisownię słowa „ksiądz” (gdy zwracał się do osoby) i zamiast „Ks.” stosował literę X. To również odzwierciedlało wyjątkowość jego osoby a zarazem swoistą oryginalność.

A.T. Czartoryski
Bogdaniec
ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

15 IX 1991

Przewielebny Xięże

Pragnę raz jeszcze podziękować za odwiedzenie Bogdańca. Bardzo mnie zainteresowało to, co Książdz mówił o parku w Bagnie. Gdyby był osobny spis posadzonych drzewek i krzewów i gdyby było do dyspozycji ksero, to bardzo bym się cieszył z przesłania mi takiego spisu, o ile są wyraźne nazwy i o ile możliwości też łacińskie.

Przyszedł mi na myśl ciekawy problem, na który, zdaje się, nie zwraca się uwagi, a mianowicie, że łatwo powstaje sprzeczność między założeniami, na których opiera się park naturalny, czyli krajobrazowy, czyli angielski, a także, na obszarze którego chodzi o najbogatsze zestawienie egzemplarzy rzadkich, egzotycznych naszych okazów botanicznych, których miejsce zasadzenia, wymogi takiego miejsca, nie zawsze mogą być w zgodzie ze zwartymi cechami parku angielskiego. W parku angielskim chodzi o architekturę przestrzeni, o określone, narzucane planem całości jego elementy, o ich wzajemny do siebie stosunek, natomiast w ogrodach botanicznych, przy zakładach naturalnych, te względy nie mogą odgrywać żadnej roli, bo lokalizacja każdej rośliny musi uwzględnić jedynie najlepsze warunki jej rozwoju i jej ekspozycji. Wydaje mi się to dosyć ważne. Na przykład w Kórniku, w obecnym stanie, problem nie jest rozumiany ani tym samym nie jest rozwiązany, bo w tych miejscach naprzeciw tylnej elewacji zamku, gdzie utrzymuje się pozostałość zarysu formowanego ogrodu francuskiego, widoczne jest zatłoczenie wzajemnie zasłaniających się okazów, warunki, które nie zapowiadają dobrego ich rozwoju, a przeciwnie, cała reszta parku świadczy, że zostawiona jest swojemu losowi, nie widać, by coś dosadzono, by była ingerencja w utrzymanie określonej koncepcji przestrzennej. Być może, nawet nigdy jej nie było, ale przez 40 lat rządów PAN-u, a przedtem 20 lat fundacji taką koncepcję trzeba było powziąć i realizować, aby ten obszar stanowił przyzamienny park, a nie względnie nieduży rewir użytkowego lasu, bo taki jest charakter tego, co nazywa się tam parkiem. Inny przykład to park w Żelazowej Woli, tak jak widziałem go 40 lat temu, a może dziś jest inaczej. Był to wtedy teren niezmiernie gęsto zapelniony ślicznymi krzewami i drzewami, obramowaniami i stawkami, mieszanka parku angielskiego i ogrodu botanicznego, ale w całym bogactwie swoim nie był to jednak ani park, ani ogród botaniczny, improwizacja nużąca i niepokojąca, bo zdradzająca nieobecność całościowej koncepcji przestrzennej, na której realizację było aż nadto warunków i widocznie aż nadto pieniędzy wydano.

Jeszcze jedno chciałbym dodać, bo nasuwa się bardzo istotne spostrzeżenie filozoficzne, czy może teologiczne, że chcemy, by park angielski dawał obraz taki, jaki by sama przyroda stworzyła, tymczasem im bardziej ma on wyrażać piękno tej przyrody, tym większy musi być w całości i w każdym szczególe udział myśli i ręki człowieka, bo z tego samego materiału, w przeciwnym razie, byłaby tylko puszcza wzajemnie splątanych i przeszkadzających sobie drzew i krzaków. Znaczy to, że Opatrzność dała nam do rąk materiał, który wtedy nam służy, gdy umiemy z niego korzystać, że natura jest ślepa, a dopiero człowiek, który umie ocenić ten dar Boży, nada jej wartość i stworzy jej użyteczność. W tym sensie park angielski, w przeciwieństwie do strzyżonego, formowanego, geometrycznego i kunsztownego, który też bywa przepięknym, wydaje się bardziej bezpośrednio naszym udziałem w zrozumieniu przyrody i Tego, który dla nas ją stworzył. To zdaje się wskazywać, że natura – w najszerszym i osobistym, i koniecznym rozumieniu – jest depozytem złożonym do naszych marnych rąk i że z tego depozytu mamy się rozliczyć.

Nie wiem, czy to potrafiłem dobrze wyrazić.

Spodziewam się, że Ksiądz spełni zapowiedź odwiedzenia Bogdańca w październiku i że na czas zawiadomi o przyjeździe, bym był w domu. Proszę tak ułożyć, by było dużo czasu na różne ważne rzeczy: na zwiedzenie obiektu, który by Ksiądz mógł interesować, i na rozmawianie o wszystkim, co ważne – a nieważnych

rzeczy nie ma – a więc co najmniej dwie noce spędzić. Proszę też napisać krótko, co Książd w Poznaniu samym albo w okolicy chciałby zobaczyć, czy zabytkowego, czy raczej przyrodniczego. Ten pałac w Będkowie może nie jest wartu umyślnego jechania, może raczej po drodze Książd by wstąpił, jadąc do mnie, ale on raczej znacznie więcej przypomina to, co dookoła zniszczono niż co nieudolnie komuna rozkradała. Proszę o łaskawe dwa słowa, czy ten list doszedł do rąk Xiędza, bo to zawsze niepokojące. Łączę serdeczne pozdrowienia.

A.T. Czartoryski

LIST 7

Podczas jednego z wyjazdów do Wiecznego Miasta, miałem możliwość przesłania księciu Adamowi Tadeuszowi Czartoryskiemu błogosławieństwa Ojca Świętego, dziś już św. Jana Pawła II. Zostało ono wykaligrafowane ręcznym, stylowym pismem na dobrej jakości pergaminie, ozdobione kolorowym wizerunkiem Papieża w centralnej części oraz ilustracjami czterech rzymskich bazylik większych. Treść błogosławieństwa nie była ogólna, ale dotyczyła imiennie Adama Tadeusza Czartoryskiego wraz z rodziną.

W liście książe pisze o swojej wdzięczności za ten dar i ponownie zaprasza do złożenia mu wizyty. Wspomina też o ks. dr. Tadeuszu Koncewiczu SDS, który podobnie jak ja, studiował wówczas w Rzymie i z którym obiecaliśmy księciu wspólne odwiedziny.

Kiedyś książe ofiarował mi kilka pięknych, zdobionych na niebiesko starych filiżanek do kawy, które pochodziły z fabryki porcelany w Chodzieży. Okazało się, że po przeprowadzce do Puszczykowa natrafił u siebie na jeszcze jedną filiżankę z tego samego kompletu i odłożył ją w sieni, aby o niej nie zapomnieć i aby czekała na mój przyjazd do Puszczykowa.

Bogdaniec
ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

16 XI 1992

Drogi Księżu!

Wielką niespodziankę i przyjemność zrobił mi Książd przysłaniem Błogosławieństwa papieskiego. Nigdy tego nie miałem. Zrobię reprodukcję tak, aby każdy z synów miał dla swojej rodziny.

Bardzo ładną [kartkę] i niezmiernie dokładną w szczegółach z Rzymu z zapowiedzią, że obydwaj księża mnie odwiedzą, swego czasu dostałem. Czy nie

można by teraz tego dokonać? Bardzo bym się cieszył, mogąc tu obu księży powitać. Ta ostatnia filiżanka zawsze czeka na stole na sieni, bo za ostatnim razem zapomniałem ją oddać. Bardzo proszę o wiadomość i ślę dla Drogiego Księdza i księdza Koncewicza wiele serdecznych pozdrowień.

Adam Tadeusz Czartoryski

LIST 8

Od korespondencyjnych obietnic przyjazdu do Puszczykowa w celu odwiedzin księcia do ich realizacji minęło trochę czasu. Obowiązki nie pozwalały mi spełnić obietnicy. Czas uciekał i dlatego księżę w liście delikatnie upomina, żeby już nie odwlekać przyjazdu do niego. Był środek lata, więc zachęcał, żeby właśnie w pięknym letnim miesiącu sierpniu się u niego zjawić. Chciał zaprezentować ogród, nad którym od jakiegoś czasu pracował, a ja byłem świadkiem tego, jak prace te przed laty rozpoczynał. Wówczas, przed laty, ogród był bardzo zaniedbany i zarośnięty.

W domu księżę mieszkał sam. Nie mógł już ogarnąć wszystkiego i dlatego wspominał, żeby przywieźć ze sobą prześcieradła. Nie opuszczała go świadomość, że czas nieubłaganie ucieka, a i zdrowie już mu nie dopisywało. Miał wtedy osiemdziesiąt cztery lata.

Bogdaniec
ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

7 VIII 1993

Kochany Księżu!

Bardzo przepraszam, że tak późno odpisuję na list z załączonym ciekawym materiałem. Ostatnio źle się czułem, ale to mija, więc proszę bardzo już nie odkładać i przyjechać razem z księdzem Koncewiczem, którego bardzo zapraszam. Teraz jest chwila, w której najładniej jest tutaj. Proszę przyjechać na noc, miejsca jest dosyć, tylko prześcieradła trzeba wziąć ze sobą, a koców jest dosyć. Bardzo bym chciał wiedzieć, czy Ksiądz zauważy różnice w postępie w stosunku do ostatniego razu w ogrodzie, bo dużo z tego, co posadziłem, już dawno mnie przerosło. Proszę już nie odkładać, bo robię się przeraźliwie stary.

Ściskam serdecznie.

A.T. Czartoryski

LIST 9

Wreszcie udało się nam wraz z ks. Tadeuszem Koncewiczem SDS znaleźć czas i złożyć obiecaną wizytę w Puszczykowie. Przebywałem w tym czasie we wspólnocie zakonnej w Bagnie, a ksiądz Tadeusz był proboszczem w miejscowej parafii. Już w następnym dniu po wizycie ksiązę Adam Tadeusz Czartoryski wysłał do mnie list będący nawiązaniem do tematów, które poruszaliśmy. Ponieważ nie starczyło czasu, żeby o wszystkim porozmawiać, ksiązę pragnał nas poinformować o jeszcze jednej sprawie, a mianowicie o kwestii nauki języka francuskiego. Wzruszająca jest jego troska, a zarazem pomysł i propozycja, aby w Wyższym Seminarium Duchownym Salwatorianów w Bagnie, gdzie kilka lat wcześniej sam był nauczycielem języka łacińskiego i greckiego, dzięki jego kontaktom i znajomości przeprowadzić kurs nauki języka francuskiego. W liście wyjaśnia, kto i na jakich zasadach mógłby ten kurs poprowadzić. Wymieniona w liście cena kursu (sto tysięcy złotych od osoby) przypomina o zawrotnej dewaluacji polskiej waluty w tamtym okresie. Złotówka z dnia na dzień zmieniała wówczas swoją wartość i operowało się niebotycznymi, milionowymi kwotami, pozbawionymi rzeczywistej wartości. Zaskakujące, a zarazem godne podziwu jest to, że ksiązę, chcąc wrócić do języka francuskiego, którego uczył się w młodości (ze skromnością mówi o swoim zaniedbaniu znajomości tego języka), sam w wieku osiemdziesięciu czterech lat postanowił z kursu skorzystać.

Bogdaniec
ul. Dębowa 3
62 - 040 Puszczykowo

21 X 1993

Przewielebny Xięże!

Do tysiąca rzeczy, o których się było powinno rozmawiać w czasie wczorajszej wizyty, należy także następujące pytanie: Czy interesowałaby Przewielebnych Księży interesująca okazja nauki języka francuskiego, a dokładnie nauka konwersacji praktycznej? Puszczykowo jest złączone z miejscowością w Bretanii, (zdaje się, że nazywa się Ille et Vilaine, koło miasta Rennes)² drogą zaprzyjaźnienia się i wymiany sobie usług. Między innymi jest nauka języka francuskiego. W tym roku znów przyjeżdża, znów na sześć tygodni, specjalna nauczycielka, która przeprowadza kurs konwersacji francuskiej, i to na dwóch poziomach, dla zaawansowanych i osobno dla początkujących. Tu zgłosiło się

² Prawdopodobnie autor listu ma na myśli miejscowość w pobliżu miasta Rennes w departamencie Ille-et-Vilaine (przyp. red.).

na to około trzydziestu osób. Za kurs, dosyć intensywny – tylko dla dorosłych – każdy zapłaci po sto tysięcy złotych i zdaje się, że to jest dofinansowywane przez to miasto francuskie. W tym roku ma przyjechać około 15 listopada ta sama, co w zeszłym roku Francuzka, której zawód jest właśnie taki. M. Ile Therese Antoine (nazwisko jest Antoine) jest w średnim, może pięćdziesiąt lat, wieku; bardzo rozmowna i sympatyczna osoba, bardzo zapalona do poznawania życia w Polsce. Jedną z jej głównych zalet jest to, że ani słowa nie zna polskiego, zna dobrze angielski. Piszę Przewielebnemu Księdzu o tym na wypadek, że może w klasztorze w Bagnie chcieliby księcia z tego skorzystać i zaprosić ją na taki kurs? Ja z zapałem się zabrałem do korzystania z tego kursu, bo uważam, że w moim wieku to już ostatnia pora, by podreperować moją francuszczyznę, która zawsze była licha, bo za młodu całkiem zaniedbałem porządnego nauczania się po francusku. Gdyby to Przewielebnych Xięży interesowało, to proszę, jak tu ona będzie, przyjechać się rozmówić z panią Antoine.

Raz jeszcze dziękuję za odwiedzenie i proszę o wiadomość o dniu następnego, i bardzo serdecznie pozdrawiam.

Ad. T. Czartoryski

LIST 10

W kolejnym liście, wysłanym niebawem po naszej ostatniej wizycie z księdzem Tadeuszem w Puszczykowie, księżę pisze o następnej sprawie, która leży mu na sercu, a o której z braku czasu nie zdążyliśmy wówczas porozmawiać. Tym razem tematem jest prasa katolicka, a konkretnie potrzeba wydawania czasopisma. Podczas spotkania rzeczywiście podzieliłem się krótką refleksją na temat planów wskrzeszenia naszego salwatoriańskiego pisma „Salwator”, którego wydawanie było zakazane w czasach komunizmu.

Bogdaniec
ul. Dębowa 3
62-040 Puszczykowo

10 XI 1993

Przewielebny Księżu

Mam nadzieję, że dotarł na miejsce mój list pisany po odejździe księży, a teraz piszę w sprawie, o której – nie pamiętam – czy może była już mowa. Czy Przewielebnego Księdza osobiście interesowałoby rozpoczęcie wydawania nowego katolickiego periodyku, a jednocześnie, czy Zgromadzenie S. Salvatoris interesowałoby to i chciałoby Zgromadzenie to zrobić?

Jest to problem, który od dawna mnie nurtuje. Jest bardzo dużo dziś wychodzących takich periodyków, ale żaden z nich nie podejmuje tego zadania

– i ośmielał się powiedzieć – żaden nie troszczy się o podjęcie tego zadania, by wydawać pismo najbardziej dziś potrzebne, a które byłoby tym dla katolickiej polskiej rodziny, czym przez blisko pół wieku był założony przez arcybiskupa Stablewskiego w Poznaniu „Przewodnik Katolicki”. Pod tą nazwą w tym samym miejscu wychodzi periodyk zupełnie innego pokroju i zupełnie innego publicystycznego założenia. Wydawcom to odpowiada i nawet ordynariusz diecezji poznańskiej nie ma najmniejszego zamiaru zmieniać tego, co jest teraz. Tymczasem nikt w Polsce nie zauważa, że *mutatis mutandis* jest wielką krzywdą katolickiej ludności kraju brak czasopisma o tej koncepcji, którą realizował dawny „Przewodnik Katolicki”, to znaczy periodyków nie dla inteligencji, ale dla tej ludności, którą jest znaczna właśnie większość ludności w Polsce, czyli żyjącej wyłącznie z pracy fizycznej, obojętnie gdzie i z jakiego rodzaju pracy fizycznej. Nikt nie pomyślał o tej ludności. Potrzebuje ona pilnie takiego organu, który by naraz te dwa zadania spełniał: formacyjne i informacyjne, czy to organu, na którym ta, bardzo wyraźnie wyróżniająca się od reszty ludności jej część, mogłaby się wychować. Wychowywać może takie czasopismo, które należy do typu „przyjaciela rodziny”, która właśnie w tego rodzaju czasopiśmie sama siebie odnajduje. Prócz czasopism dla inteligencji, które mnożą się z jakimś maniackim uporem, a które z powodu ich elitarnego charakteru, z powodu ceny, czyta jedynie znikoma część ludności, więc o nich już nie myślę tu, jest mnóstwo tak zwanych popularnych katolickich periodyków wydawanych przez poszczególne zgromadzenia zakonne, które przeważnie zamykają się w ramach swej własnej szczególnie przez nie poruszanej problematyki, przeważnie zacieśnianej do czysto ascetycznych zagadnień, a więc nie pojmują wcale swego zadania w ten sposób, jak umiał to robić dawny „Przewodnik Katolicki”. Właśnie na jego przykładzie w dzisiejszej jego wersji widać, jaki nie [podkreślone dwukrotnie] może być katolicki periodyk, jeśli ma być dla świata fizycznie pracujących ludzi! Jest to ten model, co „Niedziela” częstochowska, która swym wyłącznie polemicznym i zarazem bojownym charakterem też nie ma danych, by być tym niezbędnym „przyjacielem rodziny”, bo takie pismo, jeżeli ma swe zadanie wychowawcze i informacyjne spełniać, musi nie schodzić z pozycji głoszenia wartości pozytywnych, drogi do nich, ich praktycznej i życiowej wartości i moralnej powagi. Jaką poza tym powagę i autorytet, i kompetencje w oczach człowieka fizycznej pracy ma katolicki periodyk wystylizowany na lekkiej treści, pisany na bazie „Panoramy”, gdzie więcej o seksie i modach niż o radości z cichego, uczciwego domowego życia w poczuciu przywiązania do wartości uznanych i wypróbowanych. Zdaje się, że te czasopisma, co mogłyby być dla fizycznie pracujących ludzi, są w rękach inteligencji wychowanej w komunie i chociaż to są duchowni katolicy, więc wykształceni, to nic nie rozumieją swego dawnego środowiska prostych ludzi, z którego wyszli, a które nie potrzebuje pozorów wyższego stylu intelektualnego i słusznie na jego oddziaływanie będzie się zamykać, bo instynktownie plewy od ziarna odróżni, ale do czytania się zniechęci [podkreślone]. Jednym słowem, jest coraz wyraźniejsza polaryzacja: od pism filozoficzno-teologicznych, które czytają tylko sami autorzy artykułów, do czysto ascetycznych; o człowieku pracy fizycznej nikt nie myśli, bo każdy „do wyższych rzeczy” chce być stworzonym.

Bardzo proszę o odpowiedź na pytanie, czy Przewielebnego Księdza rzecz interesuje. Czy salwatorianów to interesuje? A także czekam na obu Przewielebnych Księży i czeka Rogalin, tyle w pogodny dzień.

Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia dla Przewielebnego Księdza, księdza Koncewicza i najlepsze pozdrowienia dla całego domu Zgromadzenia w Bagnie.

A.T. Czartoryski

LIST 11

To już ostatni z listów, które się zachowały. List ten zastał mnie już w Stanach Zjednoczonych, nowym dla mnie miejscu pracy apostołskiej. Mój wyjazd na inny kontynent i możliwość spojrzenia na naszą Ojczyznę, jak gdyby z innej perspektywy, stały się okazją dla księcia Adama Tadeusza Czartoryskiego do kolejnej refleksji – tym razem o Polsce. A był to czas, kiedy od kilku lat panował w naszym kraju nowy ustrój polityczny. Upadł komunizm i Polska próbowała zmienić swoje oblicze, ale jak to wynika z niemal filozoficznej refleksji autora listu, który przeprowadził próbę porównania ówczesnej sytuacji do okresu odzyskania niepodległości po pierwszej wojnie światowej, sprawy transformacji nie szły w najlepszym kierunku.

62-040 Puszczykowo
Bogdaniec
ul. Dębowa 3

12 X 1995

Drogi Księżu!

Mam nadzieję, że Ksiądz otrzymał moje pismo, w którym dziękowałem za życzenia na Boże Narodzenie 1994. Bardzo bym był wdzięczny, gdyby Drogi Ksiądz zechciał się odezwać i o nowym miejscu pobytu napisać. Ale przede wszystkim z tej niezmiernie odległej perspektywy ma Ksiądz znakomitą sposobność obiektywnego spojrzenia na nasz kraj i bardzo bym był ciekawy, jak się w Jego oczach przedstawia rozwój wewnętrznego położenia Polski, czy są przesłanki do optymizmu, że „do Polski” tutaj „wrócimy”? Z odległości czasem szczególnie nasuwają się spostrzeżenia z powodu równoległości tego, co było po pierwszej wojnie światowej, a co tu jest teraz po rozpadnięciu się komunistycznej okupacji: za każdym razem korzystamy z militarne go odrodzenia obu zaborców, ale opłacamy to beznadziejnym chaosem wewnętrznym i zupełną niezdolnością wykorzystania cudownej, przez Opatrzność zesłanej możliwości odbudowy autentycznej Polski. Tak samo jak po pierwszej wojnie światowej, Polska jest jednym wielkim targowiskiem i ekonomicznych, i duchowych, i politycznych spekulacji do reszty paraliżujących naszą polityczną świadomość; stajemy się kolonią jawnych, ale jeszcze silniej anonimowych obcych organizmów. Znowu nie ma komu przepędzić – sit venia verbo – „przepędzić

przekupniów ze świątyni”! Po tylu minionych latach trzeba uznać, że czas od opuszczenia Polski przez komunę został z kretesem stracony, a komuna nadal u nas przy władzy. Pod tym względem jest o wiele gorzej niż po 1918 roku, bo wtedy chaos był wynikiem rodzimych czynników i takichż interesów, a teraz – obcych, anonimowych, reżyseria bardzo inteligentna według modelu bajki o wilku w jagnięcej skórze. Jeszcze po pierwszej wojnie światowej mieliśmy wspaniałą warstwę oświeconą, inteligencję z powołania, która mimo odsunięcia jej od władzy przez demagogię wszelkiej barwy mogła coś naprawiać, co demagogia zniszczyła. Teraz tej warstwy oświeconej brak, bo została tylko przekupna, dbała tylko o osobistą karierę i osobiste zyski pseudointeligencja pozbawiona elementarnego poczucia odpowiedzialności za kraj, za przyszłość. Gatunek bardzo cenny dla każdego zaborcy, który z takiego elementu robi sobie instrument rządzenia krajem, a rzeczywiście instrument, jak się okazało bardzo sprawny, bo nad intelektualnym i moralnym skomunizowaniem Polski nie Rosjanie, lecz sami Polacy już się mozolili i... dalej są przy tej robocie. Nie ze złej woli, tylko że... inaczej nie potrafią! Cała humanistyka uniwersytecka, PAN-owska, pod zmienionym szyldem i innymi frazesami jest ta sama – ze swej politycznej, socjologicznej, moralnej, społecznej koncepcji – ściśle humanistyka komunistyczna. Współczesny nam uczonek, humanista, spec, znakomity w swej specjalności, nie jest żadnym autorytetem, ani moralnie, ani kulturalnie, ani duchowo – jest tylko pionkiem posuwany przez władze państwową na to miejsce, na którym jej to jest potrzebne. Na szkolne pulpity wrócił najważniejszy, kluczowy dla naszej cywilizacji podręcznik historii literatury polskiej, sprzed pół wieku, z dwudziestolecia, ale jaki? Oto Ignacego Chrzanowskiego *Historia literatury niepodległej Polski*. Pod gołosłownym politycznym frazesem czysto masoński podręcznik, ziejący nienawiścią do Kościoła, do jezuitów, do szlachty, bo Chrzanowski był stuprocentowym kalwinem i zapewne wysokiego stopnia masonem. Podobna głowa nic dobrego przecież dla Polski obmyślić nie mogła, tylko dla masonerii. Kończę, by dla przyzwoitości trochę czystej karty zostało, i przepraszam jeżeli tego ponurego obrazu za dużo. Proszę bardzo o dwa słowa o zdrowiu Księdza i pracy, z jakim środowiskiem się współpracuje jako polonijny? Jacy są ci ludzie?

Łączę bardzo mocno serdeczne wyrazy.

Adam Tad. Czartoryski

*

Złoty okres pisania listów mamy już w dzisiejszej kulturze prawdopodobnie za sobą. Poczta elektroniczna, wiadomości tekstowe i portale społecznościowe przejęły funkcję przesyłania wiadomości i podtrzymywania kontaktów międzyludzkich. Korespondencja stała się niewiarygodnie szybka, ale równocześnie bardzo nietrwała. Po otrzymaniu wiadomości (mającej najczęściej bardzo skondensowaną formę) i jej przeczytaniu od razu można ją skasować. To jeden z rysów dzisiejszej kultury nietrwałości. Do przeszłości odchodzi

już pisanie klasycznych listów, wysyłanych pocztą, w kopercie opatrzonej znaczkiem, na które z utęsknieniem się wyczekiwało. A jaka była radość z otrzymanej wiadomości, kiedy w końcu nadeszła! Do lektury takich listów wracało się wiele razy. Dziś pozostała już właściwie tylko poczta bankowa, a w listach przychodzą reklamy lub informacje o rachunkach do zapłacenia. Zapewne i to jednak znajdzie swój kres, kiedy całą korespondencję przejmą systemy informatyczne. Tym samym można oczekiwać, że z czasem zaniknie też gatunek literacki, który stanowi list, i nie będzie się już publikować zbiorów korespondencji, bo po prostu nie będą istniały. A przecież w przeszłości publikacje te pozwalały ocalić od zapomnienia życie minionych epok.

Drogi Panie Profesorze, dziękuję za wszystko!

Merrillville, Ześlanie Ducha Świętego 2015 roku